

helena boguszevska  
jerzy kornacki

powieść  
pod  
różą

W  
ab  
ydzonic  
two

**powieść  
pod  
różą**



**Helena Boguszewska** (1883–1978) – polska powieściopisarka, autorka reportaży. Ukończyła studia na Wydziale Przyrodniczym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Działała na rzecz równouprawnienia kobiet i poprawy sytuacji chorych dzieci, publikowała artykuły społeczne, m.in. w „Bluszczu” i „Kobiecie Współczesnej”. Razem z mężem, Jerzym Kornackim, założyła Zespół Literacki „Przedmieście”, któremu przewodniczyła. Autorka licznych powieści, m.in. *Świat po niewidomemu* (1932), *Ci ludzie* (1933), *Czerwone węże* (1933), *Całe życie Sabiny* (1934), *Anielcia i życie* (1938), *Zwierzęta wśród ludzi* (1965).



**Jerzy Kornacki** (1908–1981) debiutował jako pisarz w latach 30. na łamach czasopisma „Kobieta Współczesna”. W okresie 1932–1933 był redaktorem tygodnika „Epoka”. Współzałożyciel i członek grupy „Przedmieście”. Ogłosił wiele opowiadań i powieść *Kręgle i kule* (1959). Od 1943 roku prowadził dziennik, który nie został nigdy opublikowany.

Od 1934 roku Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki tworzyli spółkę autorską. Napisali razem: *Jadą wozy z cegłą* (1935), *Wisła* (1935), *Polonez* (1936), *Ludzie wśród ludzi* (1946), *Las* (1955) oraz *Zielone lato 1934* (1959).

helena boguszewska  
jerzy kornacki

*powieść  
pod  
różą*

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2011  
Wydanie I  
Warszawa 2011

## Sobowtór

Śnieg od rana dzisiaj padał, cicho a zawzięcie, chyba bez chwili przerwy. Zagląając w okno, widziałem poprzez szyby świeżą biel na dachach. Tym bielszą, że w powietrzu było jakby szaro, a nawet zgoła ciemno – choć także od śniegu, lecz tego w locie, z wiatrem. Więc odmieniał się – z szarości w nagłą białość – gdy przestawał lecieć, i tylko tam, gdzie spadł już, gdzie legł, na dachach domów i na wykuszach okien, na kamieniach bruku, tylko tam świecił bielą...

Po tej stronie szyb mieliśmy na obiedzie jeszcze paru gości, uprzednio zaproszonych. Dopiero z herbatą przeszliśmy dalej gadać wokół bocznej lampy, w pokoju Heli. Przyjemnie jest tutaj – nawet przy zimnym piecu!

Wzmiankuję i o tym, bo gdy w końcu nasi goście pożegnali się i poszli sobie, to zostały po nich filiżanki, talerzyki – na małym stoliku na czterech kółkach, zwanym Filomena. Nie było jeszcze późno! Kukułka w zegarze wykukała ledwie piątą, gdy goście nieznacznie, jakoś równie nieznacznie, jak zdecydowanie, zapragnęli nas opuścić. Kto aż na Czerniaków, a kto aż na Bielany...

Zamykając drzwi, zakładając na nich łańcuch, myślałem – pamiętam – że utyski na trudności komunikacyjne, w tym wypadku tramwajowe, były mimo wszystko tylko pretekstem. Albo – jeszcze lepiej – tylko namiastką tłumaczenia nam, a także sobie samym, innej, powszechniejszej, szerszej przyczyny.

Nie chcę jej nazywać! Gdy niedawno – w październiku – wracaliśmy autem z objazdu Kielecczyny, z początku o zmroku, a potem już w ciemności mijaliśmy przecież osady i miasteczka niemające żadnych trudności tramwajowych. O godzinie ósmej, o godzinie dziewiątej, na długo przed nocą, wjeżdżaliśmy w Białobrzegi, w Grójec, w Tarczyn, w Raszyn – takie puste na ulicach, takie głucho-ciemne za szybami wszystkich okien, jakby cała ludność w najlepsze spała w łózkach.

– Jerzy, proszę cię, odwieź tę Filomenę, najlepiej do kuchni, to potem się posprząta...

W tejże samej chwili ktoś zadzwonił. Pomyślałem, że wraca Dziarkowski, że zapomniał czegoś zabrać. Szalika? Rękawic?... Więc nie pytając „kto tam?”, znów spuściłem łańcuch, odemknąłem zasuwę. Ale w drzwiach otwartych stał ktoś zupełnie inny. W oficerskiej czapce, w wojskowym długim płaszczu, w butach z cholewami... Także buty mnie zdziwiły – że nie było na nich wcale mokości śniegu.

– Pan do kogo? Przepraszam...

– Do obojga państwa... Wytłumaczę się zaraz, że bez telefonu! Tylko najpierw się rozbiorę! Pozwoli pan, prawda? A zresztą, jestem przecież Rysio Wietrakowski, przychodzę do rodziców!

Dystynkcje na czapce, także na płaszczu, wskazywały rangę podpułkownika. W twarzy już niemłodej, jakby czterdziestoletniej, gminnej a solidnej, niebieskie oczy niczym nie zdradzały nawyków do kieliszka czy spóźnionych ciągót do innych zbytków, do żartów, do kpin... A jednak najwyraźniej powiedział o sobie, że jest Rysiem Wietrakowskim i że do „rodziców”... Nie mogłem się przestyszeć!

Oficer tymczasem – odpiąwszy już guziki, właśnie ściągał z ramion gruby, wojskowy płaszcz – niejako maszynowym trybem, bez pośpiechu, a szybko. I czyżby umyślnie chrząścił przy tym butami? Jakby chciał zagłuszyć świszczący, krótki oddech... Pewnie wbiegł po schodach, po raz pierwszy, więc nie zdając sobie jeszcze sprawy, jak siłochłonne, jak utrudzające jest ich półczwarta piętra!

Zdawał się poza tym przeżywać w owej chwili, w kącie przy wieszadle, jeszcze inne emocje – jakby nieśmiałości, także determinacji... Chcąc pokryć wzruszenie, dalej nadrabiał miną:

– Na pewno przeszkodzę? Ale dla mnie czas jest cenny nie mniej niż dla państwa! Postaramy się zatem niejako wzajemnie, obopólnie...

– Pan powiedział: „postaramy się”? O co się postaramy? – spytałem intruza nieledwie drwiąco. Z przedwojennych czasów zachowałem mimowolną – jeśli nie awersję, to jednak czujność na widok munduru, nagle, bez uprzedzenia nawiedzającego obce mieszkanie. – Helu, pozwól, proszę... Ale może pan pułkownik niechcący pomylił numer na drzwiach wejściowych albo zgoła piętro? Bo czasem tak się zdarza...

– Nic nie pomyliłem, panie Jerzy Kornacki! – Już w pokoju Heli, potykając się w pośpiechu i znowu przystając,

nagle prosto i sztywno w wojskowym ukłonie, pułkownik jakby się przysięgał: – Proszę państwa, ten sam! Ten sam Rysio Wietrakowski z waszego przedmieścia, z waszej powieści *Jadą wozy z cegłą*... Po tylu latach!

Nie bez satysfakcji, za pułkownikiem wchodząc, patrzałem na Helę – jednocześnie uprzejmą, wdzięcznie uśmiechniętą, ale i przestraszoną. W półmroku pokoju jej oczy niespokojne, nierozumiejące, jednak w następnej chwili łatwo, prosto, gładko odgadły sens w tym wszystkim. Przecież wiele razy umiały odgadywać!

– Proszę, niech pan siada! Po tylu latach?... Tyle się nadsiało i ponawyrabiało przez te wszystkie lata! A oto, jak pan widzi, my znowu piszemy o Rysiu Wietrakowskim... Właściwie dopiero zbieramy materiały! O Rysiu w partyzantce...

– Było się i tam! Rozmaicie, w specgrupie, znaczy się, na torach, także w oddziałach leśnych... – pułkownik skwapliwie siadł w fotelu, a teraz tak samo skwapliwie słucha i dopowiada. Trochę połykając przydłuższe słowa w poświście oddechu, dalej krótkim i głośnym. I tak kręcąc głową, jakby go wciąż uwierał kołnierzyk przy szyi.

– No widzi pan, jak to dobrze! Poprosimy pana w takim razie o jeszcze parę takich rozmów... Wszystko, jak było! Mamy na tę powieść umowę z MON-em, z Wydawnictwem MON! Pan pewnie w MON-ie się dowiedział? Od major Zatorskiej? Bo my tam z nią mówimy...

W tym miejscu pułkownik pochylił wprawdzie głowę, ale nie twierdząco. Raczej inaczej jakoś, jakby w wątpliwościach...

– Także doktor Jan Wolański, czyli nasz redaktor, między swymi znajomymi wyszukuje dla nas informatorów, którzy

sami kiedyś brali udział w tamtych akcjach... Nam szczególnie chodzi o tych, co pamiętają Helenę Wolfównę, tak zwaną „doktor Ankę”, Niutę Tajtelbaum, Krajewskiego, czyli „Mirka”, Gromkowskiego – „Grzełę”...

– Może nawet ja ich znałem? – W tym miejscu pułkownik jakoś otwarcie, a przy tym znacząco wpatrzył się w filiżanki, po tamtej herbacie niesprzątnięte z Filomeny. Zdawał się je liczyć – raz, dwa, trzy, cztery... Równocześnie jednak powiadając coś innego. – Tylko jedna rzecz... Znaczy się, ja opowiem bardzo chętnie państwu, co pamiętam! Może nawet skontaktuję państwa jeszcze z kimś takim... Ale w danej chwili ja siedzę tutaj, znaczy się, przyszedłem w innej sprawie do państwa! Wy pewnie nie wiecie, że wasz Rysio Wietrakowski, jak by to powiedzieć... Ja jestem z Bezpieczeństwa!

W jakiej innej sprawie?

Tak więc Hela tym razem jednak nie odgadła! Pułkownik przyszedł do nas bez żadnego związku z wydawnictwem, z Wołowskim i z Sękiem-Małeckim, z Suchankiem i z Sierpińskim, z Heleną Płotnicką, z Leną Wolińską... Od maja tego roku 1952 – w osobnym brulionie – zdążyłem spisać dla nowej powieści już paręnaście rozmów o początkach działań Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. O ich organizacji, o ich bohaterach, o ich rewolucyjności...

Z dzisiejszej rozmowy może uda mi się jutro dołączyć, dopisać jeszcze kilka szczegółów – w tym samym brulionie, na ten sam temat?

Jednak sens odwiedzin pułkownika z Bezpieczeństwa, sedno tych odwiedzin jakby miały wymagać osobnej

zapiski na pierwszej stronie nowego brulionu, osobnego brulionu, więc jeszcze jednego... Tak mi się pomyślało. Gdy wymawiał słowa „ja jestem z Bezpieczeństwa”, w tej-że samej chwili tak mi się pomyślało.

Usiadłem naprzeciw, w pobliżu Heli. W mojej – z tamtych czterech filiżanek na stoliku – nie było, niestety, ani trochę herbaty. Powiedziałem tylko:

– A więc proszę! Słuchamy... W jakiej innej sprawie?

Pułkownik jakby na to czekał. Jeszcze w przedpokoju nie darmo zauważył, że dla niego „czas” jest równie cenny jak dla nas obojga. Spieszył się, chciał załatwić z nami w kilku słowach, już dłużej nie zwlekając. Ale co załatwić?

– Może sami nie jesteśmy? – zaczął cicho, krótko, równocześnie pokazując oczami na drzwi, a nieznacznym ruchem ręki na tamte „dopite” filiżanki po herbacie.

– Nie, nikogo nie ma! – odpowiedziałem głośno. – To znaczy, mieliśmy na obiedzie parę osób... Pewnie pan je spotkał na schodach, na półpiętrze, bo właśnie schodziły.

– Mężczyzna i kobieta?

– Tak jest!

– Szczególny jakiś...

– Kto taki?

– Ten mężczyzna!

Namyślałem się: – Uczestnik rewolucji, Wielkiej Rewolucji Proletariackiej! Gdy na niego patrzę, zawsze na myśl mi przychodzi, że słuszniej jest mówić „Proletariacka” niż „Październikowa”...

– Nie rozumiem, dlaczego?

– Bo kiedyś tam w Rosji oduczyla go ona od mieszczańskich manier, od mieszczańskiego trybu życia, od miesz-

## Spis treści

Sobowtór	5
Panopticum	20
<i>Pro publico bono</i>	38
<i>Szyfowe prace</i>	58
<i>Memento mori</i>	93
Utrwalacz	112
Batalion	135
<i>Oda do młodości</i>	166
<i>Chevlei-ha-Masziach</i>	185
Czarny koniec	224
Na czwartym	243
Posłowie (Hanna Kirchner)	258

Redaktor prowadzący: Dariusz Sośnicki  
Redakcja: Marianna Sokołowska  
Korekta: Magdalena Stajewska, Beata Wójcik  
Redakcja techniczna: Paulina Potrykus-Woźniak

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Filipowicz.  
[www.360stopni.com.pl](http://www.360stopni.com.pl)  
Fotografia na I stronie okładki: Mariusz Filipowicz  
Fotografie autorów: © Narodowe Archiwum Cyfrowe

Wydawnictwo W.A.B.  
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5  
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11  
[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)  
[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka,  
Piaseczno, Żółkiewskiego 7a

ISBN 978-83-7747-292-7

Zwyczajny dzień 1952 roku. Do domu Boguszewskiej i Kornackiego przychodzi tajemniczy mężczyzna i przedstawia się jako Ryś Wietrakowski – ten Ryś Wietrakowski, bohater powieści gospodarzy. W ich książce, której akcja rozgrywa się w pierwszej połowie lat 40., Wietrakowski to młody partyzant, członek Armii Ludowej. Teraz jest mężczyzną po czterdziestce i jak wkrótce wyjawia, oficerem UB. Teoretycznie wszystko się zgadza. Teoretycznie – bo Ryś Wietrakowski... to postać fikcyjna. Kłopotliwy gość wypytuje o znajomego gospodarzy z dawnych czasów, a kiedy w końcu wychodzi, ci wracają pamięcią do roku 1938 i rozpoczynają swoją opowieść.

*Powieść pod różą czekała na druk pół wieku.  
Przebudzenie książki z tak długiego letargu  
– w innym czasie, w innym świecie – to prawdziwa  
sensacja. I pytanie: czy nadaje się ona do życia?  
Czy nie jest zmurszałą ciekawostką literacką?  
Odpowiedź: rzekoma nieboszczka obudziła się  
rumiana i pełna wigoru.*

z postłowia Hanny Kirchner